



Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

W Y Z W A N A.

(Dokończenie).

— Oj, biednaż moja dola — szlocha, zakryta fartuchem biedna Parania. Naraz zrywa go z oczu, podbiega kilka kroków i wyciąga ręce do dumnie sterczącego szczytu, okrywającego się jakkby lekką gazą przed promieniami palącego słońca. — Poratuj mnie, poratuj, moja ty horeńko! — woła rozżalona — bo tak mi się tuży, że śmierci chyba poszukać!

Zgorszona Maryna przerywa robotę, opiera głowę na grabiach i mierzy siostrę gniewnie oczyną.

— To nie Hospod Boh, ani ś. Mikołaj cudotwórca, tylko prosta góra, że tak modlisz się do niej, — gromi starszą Maryna — Jegomość nie dadzą ci rozgrzeszenia.

— A tobie, że chleb w złości rzucasz na ziemię, to dadzą? — pyta tamta z wyrzutem, zwracając zwolna zapłakaną twarz ku siostrze nielitościwej. — To nie prosta góra — mówi dalej ponuro — to zaklęta dziewczka z Kruszelnicy. Wydali ją za starego bogacza, a ona z luby w noc weselną uciekła. Zaklęli ją ojcowie i ot zamieniła się w górę, stanęła sobie, pyszna, między wercami. I tak nie rozłączyli ją z luby: — opływa ją strumieniem i całuje jej stopy — dodaje z cicha namiętnie.

— Ot gadasz, jak panna ze dwora, co cię czytać nauczyła — odpowie łagodniej, zasłuchana w znany myt ludowy Maryna. Smutny nastrój Paraski udzielił się i jej chwilowo. — Ale nie psuj sobie tem głowy! — krzyknie naraz z błyskiem złośliwym w oczach, — chyć grabie i bierz się w kupę, bo jak tatuś nadjadą... — pogroziła pięścią zbliżającej się wolno i zabierającej się już teraz do roboty, Parani. — Kto wie, co komu sądono, — myśli chytra dziewczyna i pochyla uznojone czoło ku ziemi, gromadząc szybko siano wokoło pala, w ziemię białego. — Paraska pójdzie za Petra i tem poratujemy swą biedę. Stary sknera nie pozwoli dumać ani darmować młodej żince, taj postarzeje się,

zrzuci z niej uroki przy cudzem dziecku, a i swoje w mig będzie miała. Tymczasem Hrynio weźmie grunt i chałupę po opiekunach i wtedy z nią, Maryną, się ożeni. — Alboż ona co gorszego od Paraski? — Może mniej krasna, ale pewno pracowitsza. Nic też złego nie spotka Parani: będzie bogatą gazdynią i doczeka jej też jeszcze młodego męża.

Biedna, zrozpaczona dziewczyna przyszła już całkiem do siebie. Gorąco bijące serce ścisnął „mus“ pod zgrzebną koszulą. Pomaga też teraz z całych sił siostrze, ażeby czas stracony odzyskać. Ciężkie westchnienia wydobywają się z uciśnionej piersi, ale nie ustaje w pracy. — Pot kroplisty spływa dziewczętom po twarzy, lecz żywe maszyny poruszają szybko swymi silnymi członkami.

Po spłwiałem niebie posuwa się słońce ku południowi i dosięga już prawie środka sklepienia, a Iwana z wozem i upragnionymi przez Marynę dwojakami nie widać. — Słonko dawno wypilo tej trochę rosy z drzew i trawy, zanim zgramolił się Iwan z przypiecka.

Zły i markotny wiąże twardemi palcami pozrywane postronki przy pękniętem jarzmie i mrucząc zakłada je wołom na szyję. Apatycznie spoziera na swoją babę, skrobiącą ziemniaki na progu chaty. — Ta do czego już ona, stara, wyschła, zczerniała. „U sąsiada też żinka nie młodsza — myśli — a jaka tęga! Jest z kim pokręcić się w karczmie w niedzielę.

Westchnął nad czarną swoją dolą chłopisko, patrzy w pole za siebie i spluwa. Bydło schodzi już z wyżyn na pojło do rzeki, słonko wysoko, a złe popłatało mu palce i wszystko z rąk mu wypada.

— Tatuś pewnie zaniemogli, — odezwała się po długiej pauzie Maryna — stękali coś w noc, może ich urzekło po tym półkwatku, co Petro wieczorem przed nim w karczmie postawił.

Parania otworzyła usta, chcąc zapewne sprostować błędne wiadomości Maryny, co do ilości wypitej przez ojca gorzałki, gdy grzmot daleki, jak turkot kół po deskach, zatrzymał

jej głos w gardle. Niebo było jeszcze bez chmur, ale jakby popiołem lekko posypane. Dziewczęta pracują pospiesznie, nie przerywając sobie, wyrzucają siano coraz wyżej i grabiami ubijają usuwające się garści. — Trza postawić kopę, zanim lać zacznie, — odzywają się obie równocześnie i na wysięgi machają niestrudzonemi rękoma.

Zagrzmiało bliżej. Nad cyplem Paraski gruby płat ołowiany zawisnął. Wysuwa się z za jej pleców powoli, otula je znienacka i zakrywa teraz całą swemi poszarpanemi strzępami. Czarny wał roztacza się w półkole i mknie coraz chyżej ku słońcu, zostawiając za sobą szarą szeroką smugę, w której, jak za gęstą firanką, ginie Paraska i sąsiedni łańcuch gór. Wicher gnie ku ziemi konary starej gruszy na miedzy i kręci pozrywanemi z kopie trokami siana. Z lotnych białych chmurek, uwijających się po granatowym szeroko roztoczonym wale, wypadają jeden po drugim jaskrawe zygzaki, a cały strop różowieje, przesiąknięty elektrycznością.

— Schowajmy się pod stertę! — woła przelekła Maryna i usiłuje wcisnąć się do siana.

— Nie można — protestuje Parania — uciekajmy do domu. Tatusz zjeżdżają już pewnie na sianożęć z gościńca. — Mówiąc to, porywa za rękę ociągającą się siostrę i w biegu pociągają ją za sobą. Gdzie przed chwilą stały dziewczuchy, spadły z szumem gęste, grube krople ulewy i w ślad pobiegły za uciekającymi.

Niedługo wsiąkała lecąca woda w spragnioną ziemię. Masy jej z gór spływające, rozlewają się już po łące w jeziorka nawałnicą rozpryskiwane w miliony wysoko podskakujących kropel, które w połączeniu ze strugami, z chmur spadającymi, tworzą zbitą oponę, szalonym wichrem miotaną na wszystkie strony. W tym chaosie rozszalałego żywiołu, widać tylko nieustannie krzyżujące się błyskawice.

Siostry, trzymając się za ręce, gonią co tchu ku mostkowi. Chusty z głów wiatr im pozywał, splecione, ociekające wodą warkocze smagają je po twarzach, jak pletniami. Lecą na oślep, nieprzytomne, brną z wysiłkiem po kostki w rozmokłej glinie i potykają się co chwila na pogmatwanej pod stopami trawie. Dobiegają wreszcie gościńca, mają już tylko przeskoczyć rów, wypełniony rwącym namulistym potokiem!... Wtem złowrogi zygzak błysnął nad ich głowami, a w ślad za nim wypadł grom straszliwy, i obie z rozkrzyżowanymi rękoma padły twarzami w głęboki namul.

Ostatni to już pocisk w walce potęg podniebnych, ziejących na nędzną ziemię zniszczeniem. Na skrawku horyzontu, gdzie najpierw groźna zawisła chmura, jasny blask oświeca płat czystego nieba. Słońce wychyla się z narzuconych mu osłon i ukradkiem spogląda na

skapany, nito łzami ociekający, nagi tors Paraski.

Nawałnica przesunęła się ciężko kłębami czarnych chmur po niebie, — siejąc za sobą różnobarwne pyłki i warcząc dalekim już grzmołem. Krwawa, bezpromienna kula słoneczna przechyla się zwolna za szczyty, ale na pożegnanie przegląda każdy burzą nawiedzony zakątek, naraz błędnie i drętwieje ze zgrozy. Tam, przy moście, leżą martwe obie krasawice, — nie powita ich pierwsza, jak dawniej bywało, już nigdy, nie opromieni ich pracy ciężkiej, nie rozweseli im doli! Nie napróżno zagrożona gwałtem dziewczyna, wzywała pomocy tej tam zdradnie płaczącej, która drugiej, zawistnej, też nie przepomniała! O! nie osuszy już dzisiaj złotym promieniem obfitych łez Parasce: niech drży z chłodu i żalu, niech oplakuje całą noc popełnioną zbrodnię!

Przechyla się smutne słońce coraz niżej i niżej, naraz znika za wyniosłym szczytem „wyzwanej, zakłętej,“ otulonej na spoczynek wilgotną, przejrzystą mgłą.

Turkot kół przerywa uroczystą ciszę po burzy. To Iwan spieszy na sianożęć po dziewczki, jedzie i dojechać nie może. Raz postronki pozrywały mu się przy jarzmie, to zatrzymuje go baba, biegnąc z dwójkami za wozem, to tuczeć przeczeć należało w karczmie i rozgrzać się półkwatkiem gorzałki. Przywiozł też biednej matce do chaty, zamiast zdrowych, hoźych dziewczek, dwa czarne zwęglone trupy.

* * *

W natłoczone ludźmi Iwanowe podwórko, wjechało dwoje sań, zaprzężonych dwiema parami białych wołów, wedle ustanowy. Dziewkom należą się białe woły i białym papierem oklejone trumny.

U drzwi otwartej chaty cisną się, jedni przez drugich, ciekawe sąsiady, wchodzą i wychodzą do izby, gdzie na tapczanie, w pośrodku, stoją obok siebie dwie trumny, ostawione świecami i białą płachtą nakryte. Kумы i krewniaczki szepeją półgłosem, objaśniają palcami jarzące knoty, kiwają głowami, a śmielsze odchylają płachty, chcąc spojrzeć na zwłoki. Skulona, patrząca martwemi oczyma, z założonemi na głowie rękoma siedzi pod ścianą na ławie Iwanicha, a bliźniaczki zawodzą obok niej, trzymając się matczynej spodnicy.

— Chcieli dać starszą Petrowi, bo bogacz, choć nie chciała dziewczka, — taj mają teraz wesele, — szepeją baby z cicha.

— Boże skaranie! Iwan pijak, nieroba, zaharował żinkę, taj dońki, — mówią gospodarze, choć co drugi nie lepszy.

— Żeby nie Iwanicha, co go zatrzymała, byłby przed tuczą dojechał — bronią baby Iwana.

Tymczasem zrobił się rozruch w chałupie: wszedł z Jegomością diak i pałamar, rozmowy ucieliły i zaczął się parastas.

Iwanicha nie poruszyła się: niema. skurczona, podsuwa tylko w górę namitkę, ściskając jej czoło, jak żelaznym obręczem. Nareszcie zaczyna myśleć i pojmovać, wraca jej przytomność, a gdy Jegomość żałośnie zanucił: „Wiecznaja pamiat“ — ryknęła niehumanym głosem i do trumien przypadła. Szamocze się z ludźmi, co ją przytrzymują, trumny z izby nie daje wynieść. Wreszcie Jegomość kazali jej ustąpić, więc pada twarzą do ziemi i niczemu już się nie sprzeciwia.

Blizniaczki, Kaśka i Hanka, wypchały się z ludźmi za zwłokami, a gdy sanie za Jegomością ruszyły, wskoczyły na załubnie i oburącz objęły trumny tak silnie, że ludzie oderwać je od nich nie mogli.

— Dajcie pokij, dajcie pokij. — prosi spłakany Iwan, postępujący za saniami ze spuszczoną głową.

Cichną ostro szarpane dzwony, gdy pogrzeb minął cerkiewkę, diak i pałamar idą obok jegomości i śpiewają, a sanie skrzypią i tłuką się po kamieniach gościńca.

Zmęczone zawrotem dzieciska, to milkną, to znowu w płacz uderzają, wreszcie podniosły głowy na skraj, spostrzegły, że niema matuli, pozeskakiwały i pędem poleciały, zastrachane, do chaty.

* * *

I znowu wstało słońce nazajutrz mgłą przysłonięte: — nie zobaczy dziś już krasawie, więc nie kwapi się chłodny ranek rozgrzewać. Pusto na Iwanowem podwórku — obejście rozgrzebuje niespokojny kogut: nie ma poco zwoływać zgłodniałego stadka: na progu chaty nie widać żadnej dziewczki z przetakiem jęczmienia, ni owsa. Szmer i wołania powstają w izbie, po chwili wybiegają Hanka i Kaśka, rozczochrane, zaspane i przez przełaz gonią na cudze sady. Słychać chrzęst łamanych płotów, — a potem tupot bosych nóg, uciekających, jak przed pościgiem.

Wpadły naraz do izby, zrzucając z podłogi przed komin suche patyki i gramolą się czempredziej za piec.

Iwanicha stoi oparta czołem o okap kominu i wpatruje się w zimne, popiołem zasypiane ognisko. Schyla się po chwili i zgrabiając rękoma zgartuje chrust rozsypany, układa go powoli na kominie i rozdmuchuje z wysiłkiem iskry. Suche, krwią od płaczu nabiegłe oczy, wygryza dym czarny, kłębami otaczający jej głowę. Zaciska sine usta, to znów je wydyma, a piersi rzeżą, nie mogąc nabrać oddechu. Prostuje się, zgina, dusi ją suchy kaszel, aż chrust trzeszczeć zaczął i kilka płomyków wydobyło się od spodu. Zadyszana, przysiadła na ławie, zwraca oczy na „Bożą

Maty“ z siedmioma w sercu mieczami, zawieszoną pod zadymionym pułapem i szepce sine mi wargami: — „Tak majet buty“.

Wieczorem, zgłębła we dwoje Iwanicha niesie z lasu pęk gałęzi, przewiązanych na plecach, weretą. Wloką się długie patyki po gościńcu, krótsze odrapują zakurzone i popękane pięty Iwanichy, a ona ciśnie z całych sił do wklęsłej piersi końce roztrzonej płachty, ażeby się jej z powykęcanych palców nie wymknęły. Blizniaczki lecą z wrzaskiem za matką, bijąc się o garść kwasku, uzbieranego pod lasem, a Iwan siedzi w karczmie za stołem i połyka łyżę żalu, co mu do blaszanki z wódką kapią po wąsach...

Ezopina.



Z notatek.

Cześć dla wielkich poetów nie jest tylko hołdem, oddanym genialnym jednostkom, nie jest podtrzymaniem ich sławy pośmiertnej dla zadowolenia dumy narodowej.

Sława tak pojęta byłaby rozdzieleniem próżności jednostek przez opinię tłumów, byłaby dekoracją życia społecznego, świetną, ale powierzchowną.

Jeżeli w kręgach zaziemskich, w regionach ducha, nieprzeniknionych dla myśli ludzkiej, dusze wszelkich ludzi odbywają falowanie przemian w wiekuistym dążeniu ku doskonałości — to sława pośmiertna tych mocarzy ducha jest dla nich dźwiękiem, ginącym w nieskończonych dziedzinach.

Dla nas, w życiu doczesnem, cześć dla genjuszów poezji jest wyrazem stałej miłości społeczeństwa dla najpiękniejszych zdobyczy jego kultury, dla najwspanialszych wysiłków energii rodzimego ducha. Ona utrwała i potęguje działanie tych niszczących źródeł duchowej siły, jaką genjusze zostawiają w spuściźnie narodom.

Nasza cześć dla Mickiewicza jest nie tylko aktem miłości i wdzięczności milionów serc polskich, ale zrozumieniem i odczuciem żywiołowej potęgi jego poezji, która zawsze podsycać będzie płomień energii rodzimej. Płomień ten nie zgasił w odmęcie dziejowych nawałnic, oparł się powodzi kłesk, jakie spadły na naród polski, — a dzisiaj rozżarzają go hece hakatystów i podmuchy rasowych nienawiści. Płomień ten wnika w każdą duszę polską, szlachetną i wierną najświętszym uczuciom, rozjaśnia każde sumienie, nie zatrute miazmatami mrzonek kosmopolitycznych, ani sztucznie wpajany jad stanowych nienawiści.

Twórcza moc genjuszu poety tkwi w głębi dusz naszych, bo wypłynęła z najgłębszych źródeł rodzimego ducha. W żyłach każdego Polaka, u-

świadomionego politycznie i kochającego bratnią rzeszę, krąży cząstka Mickiewicza i krążyć będzie we krwi nieskończonego szeregu przyszłych pokoleń.
Józef Kotarbiński.



Szymon Askenazy.



Studja historyczno-krytyczne.

(Dokończenie.)



Wydanie pamiętników i korespondencji dyplomatycznej Tallejranda skłoniło autora do napisania studjum: „Tallejranda początki”. Szczególniejszy to zaiste widok — powiada autor — zgrzybiały, oschły Tallejrand, który, na schyłku żywota, własne pogmatwane dzieje, a zarazem dzieje świata spisuje piórem ostrem, niekiedy zatrutem, zawsze interesownem, a który, rozgrzebuając najpierwsze wspomnienia, jedną niezapomnianą znajduje iskrę w popiele i prawie z rozrzwinięciem zatrzymuje się nad postacią jedynej swojej w życiu opiekunki, w staroświeckim czepcu z motylem i wstęgami staruszki. Obraz młodości Tallejranda, jaki nam autor na podstawie korespondencji i pamiętników skreślił, jest niezwykle interesujący i udatny. Niktby nie przypuszczał, że ów przebiegły dyplomata, który za plecami swego wszechwładnego pana śmiał robić własną politykę, musiał pędzić tak nędzny żywot w Ameryce. W stanach północnych spotykamy bowiem Tallejranda, wraz z innymi rozbitkami francuskimi, tułającego się po lasach Connecticut'u i uczącego się nad brzegami Ohio u półdzikich farmerów, połowu bobrów. Przygody tej tułaczki utrwaliły się wprawdzie w jego pamięci, ale do smaku mu nie przypadły. Dalekim on był od gustów Lafajetta, lub Niemcewicza, ludzi pełnych zapału i charakteru, którzy mogli znaleźć sobie ojczyznę przybraną w młodej Ameryce.

Z powodu złego przekładu na język polski zlej książki Carlyla, autor poświęcił owemu nad miarę rozślawionemu pisarzowi angielskiemu osobne studjum. Wbrew staremu orzeczeniu — powiada autor — został Carlyle pierwiej prorokiem we własnym kraju, zanim uznała go Europa. Lecz ta jego sława, zarówno angielska, jak europejska, miała swoje źródło i koleje

szczególne, które obniżają jej wartość: Carlyle od samego początku wystąpił w roli moralisty, karmił z surowością wielką społeczeństwo swoje i obce, a w jego kazaniu purytańskim, jednostajnem i nużącym, trzy ulubione pytania powtarzają się nieustannie, a mianowicie: „potępienie hypokryzji ludzkiej, braku poświęcenia, braku pokory i posłuszeństwa dla zesłanych przez opatrność bohaterów, między którymi Fryderyk II-gi pruski wybitnie zajmował stanowisko. W Carlylu wywoływały oburzenie wzmagające się w Irlandji dążenia ku równouprawnieniu. Z powodu pięknego bilu edukacyjnego Gladstone'a dla Irlandji (1873 r.) pisze Carlyle: „Jest to szczyt Gladstone'a podłości i nędzych sztuczek, najprzeźroczystszy sposób eskamotowania sześćdziesięciu głosów irlandzkich, tych muzykantów papieskich, jest to przemycanie skrzypiec wychowania publicznego do rąk przeklętych synów Beliala i kobiet w sukni szkarłatnej. Gladstone wydaje mi się jednym z najpodlejszych ludzi, jakich kiedykolwiek widziałem.“ Jak nasza Rzeczpospolita XVIII. w. przedstawiała się oczom Carlyla, o tem niema co nawet wspominać, zaznaczyć tylko należy, że oprócz wścieklicznej, pokrywającej jego historjoficzne sądy, spotykamy w powyższym wypadku oczywiście zdumiewające nieuctwo.

Aby otrząsnąć się z przykrego wrażenia, jakie przeglądanie prac pseudo-historycznych Carlyla musiało sprawić badaczowi, poświęcił autor następne studjum Rankemu, który w zakresie działalności naukowej, jak trafnie i słusznie autor zauważył, nie ma sobie równego w bieżącym stuleciu. Oprócz tego zaliczał się Ranke do tych niewielu uczonych, którzy zarazem pisali historję i pomagali ją robić. Dzieje też owego znakomitego umysłu uzupełniają w pewnym stopniu genezę Niemiec dzisiejszych. Wojna 1870 r. dużo dała do myślenia wielkiemu historykowi, który Jenę pamiętał jeszcze, a w pracach swoich niejednokrotnie stykał się był z przejawami antagonizmu odwiecznego obu narodów, gdzie kogut galijski najczęściej krwawą miał odwagę. Ranke niejednokrotnie upewniał, że nienawiści narodowej niemcy ku francuzom nie żywią, na Boga zaklinał francuzów, aby zawarli pokój, dopóki się jeszcze trzymają w Paryżu, ale gdy po upadku cesarstwa Thiers go zapytał, z kim teraz niemcy prowadzą wojnę, odpowiedział nieupełnie szczerze: „z polityką Ludwika XIV-go“. Skreśliwszy starannie dzieje tego niezmiernie pracowitego żywota, autor dał nam wykończony i piękny portret Rankego, który i wśród naszych historyków posiadał zarówno uczniów, jak i wielbicieli.

Ostatnie studjum poświęcił autor Taine'owi, o którym na wstępie powiada, że jest to umysł tego rodzaju, że, gdziekolwiek się zjawiał, odrazu stawał w przednim szeregu, nie dając się wyprzedzić nikomu, niebawem uprzedzając

wszystkich. Studium, zajmujące się Taine'm, napisane zostało z wyszukaną starannością i z uwydatnieniem sumiennem najdrobniejszych rysów charakteru i natury talentu słynnego uczonego i historyka Francji. Autor z prawdziwym zamiłowaniem czytywał się w prace Taine'a i głęboko zastanawiał się nad jego oryginalną historjografją. Pomimo, że taine'owska historja starych rządów i wielkiej rewolucji francuskiej nie przedstawiała mu się bynajmniej, jako wzór doskonałości, przyszedł jednak autor do tego przekonania, że w Tainie w równym stopniu zespoliły się razem: wielka i wyszukana sztuka, wiedza głęboka i wszechstronna, silne i zacne sumienie. Zdaniem też autora Taine, jako moralista, artysta i uczony nie należy jedynie do bieżącej doby, będzie miał swoją osobną kartę w księdze wieczystej, gdzie się zabezpiecza dorobek ludzkości.

Pozwolę sobie poświęcić jeszcze słów kilka całemu tomowi „Studjów“, w którym autor zamieścił, jeżeli się nie mylę, pierwociny swej naukowej pracy. Wszystkie studia p. Askenazego, poczynawszy od pierwszego, a skończywszy na ostatniem, noszą wybitną cechę dojrzałości umysłowej. Niema w nich śladu owej młodzieńczości, lubującej się w dźwięcznych frazesach lub pragnącej się popisać oryginalnością myśli, czy też torowaniem historjografji nowych, dotąd nieznanych kierunków. Drugą cechą studjów p. Askenazego, którą łatwo każdy czytelnik postrzeże, jest sumiennosc opracowania danego przedmiotu, oparta na gruntowności badań. Prócz tego nie spotykamy w pracach autora rozwlekłości w opisie, powierzchowności w obserwacji, ani jednostronności czy subiektywizmu w sądzie. Myśl jego sięga głęboko w pokłady dziejowego materiału, pragnąc z nich wydobyć jedynie nieskażoną namietnościami historyczną prawdę. Studja też p. Askenazego są doskonałą rękojmią, że na katedrze uniwersytetu lwowskiego spełni swe obowiązki naukowe z prawdziwym dla społeczeństwa pożytkiem.

„Kurjer Warszawski“

A. Rembowski.



Piosnka.

Jak cudny kraj, jak boski kraj,
Gdzie złote wstają sny!
Tam wiecznie szumi świeży gaj,
Tam młode serce drży!

A taka woń, a taka woń
Bije od pól i niw,
Że kwiatów szuka twoja dłoń
I plonów złotych żniw.

O, w kraju tym, o, w kraju tym
Tęcz pełno, blasków, zórz,
Sklada się pieśń i płynie w rym, —
Przyklękni, ręce złóż.

Bo taki świat, bo taki świat
Zabłyśnie w oczach ci,
Że sam się zmienisz w polny kwiat,
Pić będziesz ziemi lzy!

Na śmierć i bój, na śmierć i bój
Przysięgę złożysz tam,
Rycerski wezmiesz złoty strój,
Pioruny wyzwiesz sam.

Ja znam ten kraj, ja znam ten kraj,
Gdzie słońce spija mgły;
Gdzie pieśnią cudną śpiewa gaj,
A złote wstają sny.

M. J. Gruszecka.



Matka — Polka.



Beznadziejny, rozdzierająco smutny wiersz Mickiewicza „Do matki polki“ powstał na kilka miesięcy przed nocą 29 listopada i w warunkach, które wcale nieuprawdliwiają jego nastroju. Poeta przebywał wówczas pod słonecznym niebem południa, na klasycznej ziemi włoskiej, „gdzie wieniec bluszez ruiny dawne stroi, gdzie buja laur i cyprys cicho stoi“, spędzał — jeżeli nie szczęśliwie, bo takich w życiu nie zaznał — to co najmniej miłe i pogodne chwile w otoczeniu ludzi niepospolitych zalet umysłu i charakteru, a szczerze sobie przyjaźnych. Co więcej: w sercu jego brzmiały naten czas nietylko „słodkie imiona pokrewieństwa, przyjaźni, słodkiej przyjaźni“, lecz i „słodszy wyraz nad wszystko, wyraz miłości, któremu niemasz równego na ziemi, oprócz wyrazu „ojczyzna“. — I oto nagle „hydra pamiętek“ zatopiła w nim szpony i dusza poety — bez żadnej pobudki z zewnątrz — pomknęła, jak dusza Anhellego, po złotej fali miłości pod inne niebo, ku innej ziemi, — ku ziemi, zoranej krzywdą, zawłóconej smutkiem. A ból rozpaczliwy, wywołany wspomnieniem i wieszczem przecuciem, wybuchnął w pieśni — do niewiasty polskiej.

„Kłękni przed Matki Bolesnej obrazem — woła do niej — i na miecz patrzaj, co Jej serce krwawi: takim wróg piersi twe przeszyje razem!“ Nie dla ciebie rozkosze macierzystwa! Tobie nie wolno stroić gniazda dla pisklęcia w miękkie puchy,

choć i lieha ptaszyna ma do tego prawo; tobie nie wolno opromieniać go blaskiem wesela, ciepłem pieszczoty. Twój syn należy nie do ciebie, lecz do Matki-Ojczyzny, mordowanej a nieśmiertelnej! On za nią i dla niej ma iść w bój i na męki. Chowaj-że go tak, by się przed obowiązkiem, gdy chwila nadejdzie, nie cofnął. „Kaź-że mu wcześniej w jaskinię samotną iść na dumanie... zalegać rochoże, oddychać parą zginiłą i wilgotną, i z jadowitym gadem dzielić łożę“. Baw, o matko Polko, dziecię twoje przyszłemi jego zabawkami: „wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem, do taczkowego kaź zaprzęgać woza; by przed katowskim nie zbłądzał obuchem, ani się spłonił na widok powroza.“

A potem, gdy syn twój z chłopca wyrośnie w młodziana, gdy w oczach błysnie mu „genjuszu świetność“, a z czoła wyjrzy „dawnych Polaków duma i szlachetność“ wówczas...

Ale o tem, co stanie się wówczas, poeta opowiada szerzej w trzeciej części „Dziadów“.

Tworząc swe arcydzieło pod świeżem wrażeniem klęski narodowej, Mickiewicz sam „cierpiał kochał, szalał“ i dla tego stał się tak genialnym tłumaczem męki zbiorowej W „śpiewach“ jego „przewiewają ludzkiego rodu całe tonie, jęczą żalem, ryczą burzą“... A w tęczach, akordach i strofach spleśnianych tonów jeden szczególnie „gra i płonie“ Nie potężniejszy od innych, ani wymowniejszy, ale nad wszystkie bolesniejszy. Ton ów wydobywa się z piersi Rollisonowej, z piersi matki Polki.

Wróg wydarł jej, ubogiej, niewidomej wdowie, jednaką, Jasia, który „był jej pociechą, jej okiem“, — uczył się tak dobrze i uczył już innych i żywił ją „ze swego szczipłego dochodu“.

Któż zliczyć potrafi, ile łez wylała, ile kawałków chleba od ust sobie odjęła, ile drobnych, ale bolesnych walk stoczyła, nim syn o własnych stanął siłach? — Nie jedno dosłyszeć można sercem w słowach jej, krótkich — jak zwykle u cierpiących — a do Nowosilcowa zwróconych: — „Mój panie, ja wdowa — ach wieleż to lat, póki człek dziecko wychowa!“ — Kto wie, może i oczy jej zgasty, wysilone nadmierną, niewdzięczną pracą na chleb i książki dla Jasia...

I oto zaledwie uśmiechnęła się jej pociecha, syn, wydany „w ręce Heroda“, poszedł do więzienia, na męki...

Czy w otehlani rozpacz, w którą straszny cios ją pogrążył, mogła się modlić — nie wiemy. Ale przypuszczać wolno, że myśl cierpiącej Wilnianki, biegła ku „Pannie świętej, co w Ostrej świeci Bramie“, wzbijała się na skrzydłach niemego błagania ku Bolesnej...

I poszła, jak Tamta, szukać synaczka swego na drodze krzyżowej.

Nie ujrzała go, nie usłyszała z ust jego pozdrowienia: „Salve mater“, ale odgadła sercem, że to jej dziecko żołdacy wiedą na śledztwo, wiedą przed Piłata i poszła w ślad za nimi. A gdy wy-

pehneli ją „z proga i z bramy i z dziedzińca“, usiadła pod murem więziennym, jak niewiasta w żałobie z Grottgierowskiego obrazka, ale nie-szczęśliwsza od tamtej: odarta z powabów młodości, samotna, niewidoma..

Przycisnęła głowę do zimnego muru, aby bliżej być miłego. Jak niegdyś tuliła ją zapewne do bijącej piersi Jasia. W uchu była teraz cała jej dusza, „dusza matki“ i słuch jej „wszedł w głąb muru, daleko, głęboko; ach, dalej poszedł, niżli najbystrzejsze oko!“

Wyczekiwała z bolesnym niepokojem wieści o dziecku.. Nagle „w północ, w mieście głucho... w północ, tam z muru“ usłyszała głos... „cichy, jakby zpod ziemi, jak ze środka ziemi“... Był to głos Jasia. Jęczał. Męczono go Dano mu trzysta kijów...

Chowany tak, „by przed katowskim nie zbłądował obuchem, ani się spłonił na widok powroza“, syn wytrzymał sromotną mękę, nie wyznał nic. „Żeby tylko zaciął i krzyczał, że nie chce skarżyć niewinnych przyjaciół“. Ale okrutne razy, pod którymi rozlatywało się ciało jej dziecka, złamały ducha w matce. Poszła do Nowosilcowa, poszła błagać wroga o litość. Stała w kornej postawie przed tym, co „mordował i katował i tyle krwi niewinnej wylał.“ — Płakała przed nim, chociaż krwawe krople, co leciały z jej zgastych oczu, wywoływały śmiech cyniczny, bo nie na zimny głaz padały, jak łzy Aldony, lecz w plugawie serce sługi despotyzmu. — „Panie Senatorze! — woła żałośnie — ja wdowa! Panie Senatorze! słyszałam, że zabili — czyż można, mój Boże! Moje dziecko! ksiądz mówi, że on jeszcze żyje; ale go biją, panie! któż dzieci tak bije! jego zbito — zlituj się — po katowsku zbito“.

W słowach nieszczęsnej matki dźwięczy tylko ból, tylko łzawa prosba.

Ale chęć odwetu, stłumiona trwogą o syna, wybucha w jej sercu, jak płomień, na wieść o tragicznym jego zgonie.

Nieprzytomna prawie leci do tyrana. Rozpacz i zemsta potęgują w niej siły. Niedaje się słuźbie, roztrąca ją, — obala lokaja, broniącego wejścia i wpada, jak tygrysica, na salę balową.

Groźne zjawisko dla bezmyślnego świata, bawiącego się na baltazarowej uczcie, tem groźniejsze, że na imię mu: legion! Bolesć, wzgarda, zemsta wszystkich matek, których dzieci ginęły w turmach, Sybirze, na szubienicach, wybuchają w jej wrzasku, gdy, goniąc umykającego tchórzliwie tyrana, krzyczy:

— „Gdzie ty! — znajdę cię, mójgi na bruku rozbiję, jak mój syn! Ha, tyranie! syn mój! syn, nie żyje! Wyrzucili go oknem — Czy ty masz sumienie? Syna mego, tam z góry, na bruk, na kamienie... Ha, ty, pijaku stary, zbryzgany krwią tyłu niewiniątek, pójdz! — gdzie ty, gdzie ty, krokodylu? Ja ciebie tu rozedrę, jak mój Jaś, na sztuki. Me dziecię! mój jednak! mój ojciec-żywi-cieli! — A ten żyje — i Pan Bóg jest i jest Zbawicieli!“

I nie słaby głos ludzki odpowiada na ów krzyk rozdartej piersi: odpowiada nań groźny wark chmur i piorun uderza w człowieka, co wspólnie z Nowosileowym i Bajkowym tworzył jeden spłot żmij.

Czerwony błysk gromu to jedyne światło, które pada na tragiczną postać Matki Polki. Nie zapowiada ono „jutrzeńki swobody“, ani tem mniej „zbawienia słońca“... Nad Polską długo jeszcze wisieć będzie czarna noc, tylko piorunami rozjaśniana. — Ale niewiasta polska, zwana przez wieszczę „bohaterem z ducha“, przetrwa ją z wiarą w srebrne światy.

A kiedy burza przewieje i pierś ojczyściej ziemi odetchnie swobodnie, szeroko, rozkosznie, — Polka nie zaćmi ogólnego wesela żałobą swoją, zamknie na dnie serca płacz za tymi, co padli wśród zawodu i ciałem poległym dali ojczyźnie „szczebel do sławy grodu“.

Maria Wysłouchowa.



Z polskiego Parnasu

Selim*)

Niespełna wiek temu, bo przeszło siedemdziesiąt lat, cechy poezji polskiej zbliżonemi były do cech poezji dni dzisiejszych. Romantyzm, rozpoczynający walkę z pseudoklasyccyzmem, na sztandarze swym wypisał hasła domagające się przywrócenia ukróconych praw wyobraźni i sercu.

Dzisiaj objaw ten występuje znowu, lubo w zmienionych nieco wymiarach. — Do walki z ciasno pojętym utylitaryzmem stają dzisiejsi „najmłodsi“, nie chcąc widzieć sztuki w jarzmie ciasno pojętych obowiązków społecznych.

Zachodzą jednakże różnice zasadnicze pomiędzy świtającym romantyzmem a poezją dzisiejszą. Tamten z hasłem „miej serce i patrzaj w serce“ związał był ściśle zwrot ku poezji ludowej, prócz tego drgała w nim rozgłosnie, szczególnie po 1830 r., nuta patryjotyzmu, czego tak silnie zaakcentowanego nie dostrzegamy w poezji dzisiejszej.

Ale obniżenie się doniosłości tych dwu zasadniczych ongi tonów uzasadnić się da — wobec czego „wina“ „najmłodszych“ nie okaże się tak wielką jak twierdzą niektórzy.

Czasy romantyzmu obfitowały w zdarzenia polityczne pierwszorzędnej wagi, hasła wolności wstrząsały umysłami ogółu, wobec czego wsiąkały i w istotę poezji, która skutkiem tego stawiała się nieraz hełmem zwiastującym nadejście nowych światów.

Dzisiaj zupełnie inaczej.

Po bankructwie, popularnego nienaukowego, pozytywizmu; po zdeskredytowaniu się hasła „pracy organicznej“, którym to hasłem poezja nasza, ze szkodą dla swego rozwoju czas jakiś służyła, nastąpił czas re-

akcji przeciwko temu podporządkowywaniu poezji nieskrystalizowanemu jeszcze hasłom społecznym.

Nastąpił zaś ów zwrot dlatego, że pozytywizm nie mógł zadowolnić umysłów — hasła zaś pracy organicznej, zmieniły się w hasła głoszone pro domo sua przez najrozmaitsze koterje i koteryjki.

A naraz z tą reakcją wnikać poczęły w poezję pesymizm i refleksja filozoficzna, jako naturalne następstwa zawodów. Hasła, tak szumnie głoszone, zawiodły — stąd smutek z niej więcej, nieraz zwątpienie a nieraz zgrzyt przesadnego nawet oburzenia. Dlaczego zawiodły, jakie przyczyny? — stąd namysł, wzrost zaciekań filozoficznych, stąd w dalszym ciągu szukanie pokarmu dla poezji w analizach psychologicznych własnego „ja“. Stąd wzrost indywidualizmu — stąd egotyzm w poezji.

Do tych cech zasadniczych dołączyć należy jeszcze wpływy obce, które skłoniły poetów dzisiejszych do zwracania szczególniejszej uwagi na subtelność, wykwinność a nawet prerafinowanie u niektórych (Ludwik Szczepański) formy zewnętrznej i na muzyczność wiersza. Objaw ten powtarza się stale w dziejach literatury w chwilach zżałowania hasła społecznych.

Te cechy, widzimy u wszystkich najmłodszych, objawiające się bardziej lub mniej wyraźnie, stosownie do usposobienia i talentu autorów.

U Jana Kasprówicza nie tylko cechy które przytoczyłem, ale nawet ich kolejne różniczkowanie, najwyraźniej się ujawniają. Owe podporządkowywanie poezji hasłom społecznym widzimy jeszcze bardzo wyraźnie zaakcentowane w pierwszym tomie „Poezji“ (Biblioteka Mrówki) które to zaakcentowanie zjednało mu nazwę „barda kmiecego“ — następnie jednak poeta przestaje poezję oddawać jedynie na usługi hasła zresztą bardzo pięknych i postępowych, ale kępujących artystę, jak każda tendencyjność i w „Anima Lachrymans“ obok motywów ludowych znajdujemy i utwory czysto egotyczne lub filozoficzne — w „Miłości“ refleksyjność filozoficzna, indywidualizm silnie się ujawniający i silna, jedyna a w razie potrzeby nader subtelna forma, skojarzywszy się, stanowią dzieło niepospolitej wartości; w tegorocznym zaś „Krzaku dzikiej róży“ pierwiastki te utwarzają całokształt filozoficzny, którego znamionami panteistyczne umiłowanie przyrody i wysunięcie indywidualizmu na plan pierwszy (Akordy jesienne) połączone ze szczytnym altruizmem i głębokim zrozumieniem prądów społecznych.

U Antoniego Langego, cech powyżej podkreślone ujawniają się, skutkiem silnego wpływu poezji francuskiej przede wszystkim, obok mistrzostwa formy (rym), w refleksji filozoficznej i w opanowaniu fantazji, pozwalających mu, podobnie jak Leconte de Lisle'owi, wchłaniać w siebie najrozmaitsze, nieraz przeciwne poglądy filozoficzne. Lange gdy chce jest wyznawcą Buddy, mahometaninem, ascetą średniowiecznym lub współczesnym pesymistą — nerwowcem. Żadne systemy filozoficzne nie są mu obce.

I Miriam nie hołduje utylitaryzmowi. On to pierwszy zapoznał ogół z zasadą sztuka dla sztuki — sam zaś ma w sobie coś z trubadura i pejzażysty, skoro zaś pragnie w utworach swych propagować ideje spo-

*) Selim (Władysław Bukowiński) *Z marzeń i życia*. Warszawa Nakładem Michała Glücksberga 1898.

łeczne, nie może się uchronić od pewnej dozy czułości konwencjonalnej. Za to w formie, jak najtrudniejszej, w rytmie wiersza jest niezrównanym.

U p. Tetmajera piękne przedewszystkiem pod względem języka, monotonne nieco w formie i obserwowaniu, utwory obracają się w bardzo ciasnem ze względu na treść, kole. Wrażenia zewnętrzne uderzają go przedewszystkiem i te oddaje nader plastycznie — dodajmy do tego trochę melancholji, brak jakiegokolwiek systemu filozoficznego, i wpływy obce (Heredia) a będziemy mieli cechy jego utworów. Jest on jednakże przy tem wszystkiem niezrównanym stylistą i plastykiem.

Te cechy, które zaznaczyliśmy, zastanawiając się nad utworami Kasprowicza, Lango, Miriama i Tetmajera odnaleźć się dadzą u wszystkich niemal „najmłodszych“ w tym lub owym kierunku bardziej wyraźnie się uwidoczniające.

I nic dziwnego, zwyczajnie w ruchu umysłowym przodują całemu zastępowi talentów mniejszych talenty większe, spełniając jakoby rolę słońc, podczas gdy tamci są... księżycami. „Rzadko zdarza się spotkać pisarza — powiada Ignacy Matuszewski — któryby dawał czytelnikom tylko to, co wyszło bezpośrednio z jego głowy; któryby wyłonił z siebie swój własny światek i nie dopuszczał do niego żadnych, choćby najszlachetniej urodzonych i najwspanialej wychowywanych intruzów.“ Jeżeli to słuszne zdanie odnieść można do geniuszów, tembardziej odnieść się da do talentów nie pierwszorzędnych.

Nic przeto dziwnego że rozpatrując utwory Selima, jednego z najmłodszych z grona „najmłodszych“, — wpływów obcych znajdziemy bardzo wiele.

Szczególniej wpływ Słowackiego i Asnyka jest bardzo widoczny nie tylko w szczegółach, ale i w ogólnym nastroju tomiku.

Nastój ten można by nazwać melancholijno-marzycielskim.

Wprawdzie i pesymizm nie obcym jest Selimowi, ale zdaje się on nam być u niego sztucznym, napływowym raczej, aniżeli właściwym jego usposobieniu.

Czuje on się wprawdzie więźniem „jęczącym ćwierć wieku w lochu więziennym“ (str. 153) skarży się, że nie ma chęci do życia (str. 154) mówi:

Duchowej nędzy przyciska mnie brzemię,
A ból straszliwy skrzywił moje usta,
Przeklinam siebie i ludzi i ziemię,
I serce moje, jako czara pusta,
Gdzie na dnie nieco mętów stoi,
A czoło moje blade, gdyby chusta...

(Pod brzemieniem — str. 169)

ale to chwilowe, a jeżeli nie chwilowe, to nie oddane tak silnie, aby sprawiało na nas wrażenie rzeczywistego, przygnębiającego, trwałego pesymizmu.

Za to marzycielstwo — melancholijne wyłania się niemal z każdej strofy poety.

Jego poezja rzeczywiście jest:

Miedzy ziemią a niebiosy
Zawieszona w mgieł topieli

Gwiazd koroną wieńczy czoło
Złote blaski ciska w koło.

(Poezja str. 9)

jego pragnienia polegają na tem, że żąda od „zacytowanych“:

Pozwólcie młodym młodymi być,
Mieć własne pragnienia, cele,
Snuć marzeń czarowną nić,
Walczyć i kochać, pracować, śnić,
Wierzyć w potęgę wiedzy i czynu,
Przed którą wszystko się ściele...

(Ad patres — str. 42)

Obok utworów melancholijno-marzycielskich poważna część poświęconą jest miłości oraz wdzięcznym obrazkom przyrody. Uczucie miłości u Selima nie objawia się w utworach ani silnie, ani głęboko. Utwory, pod wpływem miłości powstałe, oddają albo tęsknoty serca, albo zachwyty poety, lub (pod wpływem Asnyka) składają się na wierszyki zaprawione ironją.

Wpływ „W Szwajcarii“ Słowackiego wykazać tu najłatwiej, szczególnie na obrazku „W noc majową“.

Dość zacytować kilka urywków:

Dziś wam powiedzieć, już nie mogę prawie,
Czy sen to tylko, czym widział na jawie...
lub:

Nie było wkoło alpejskich widoków,
Ona nie wyszła z mgły ani obłoków,
Ni z barwnej tęczy, ni z potoków piany,
Nie było jezior, szaletów, kaskady...

Wpływ Asnyka poznamy znów, jeżeli prześlemy utwory: „Obcy ład“, „Ślubna piosenka“, „Ary-stogiton“, „Czarodziejka“ i t. d.

Co do formy zewnętrznej to ta u Selima jest poprawna, jak zresztą prawie u wszystkich „najmłodszych“ i odznacza się nieraz wielką muzykalnością wiersza.

Niektóre strofy same się niemal napraszają akompaniamentu muzyki np.

Odeciała w świat daleki
W świat daleki,
Za trzy morza, za trzy rzeki,
Za trzy rzeki,
Gdzieś w nieznanym świecie...
Wzięła z sobą serce moje,
Serce moje,
Roje snów i marzeń roje,
Marzeń roje
Moich młodych lat...

(Z teki piosnek — str. 11)

Po przeczytaniu tomiku doznaje się uczucia przyjemnego, usposabiającego sympatycznie do poety — nie wierzy się wprawdzie w jego pesymizm, ale wierzy się w jego marzycielskie usposobienie, szczerze się ujawniające we wdzięcznych strofach — podoba się muzykalność wiersza, — ale prócz tego nie można sobie zdać sprawy na czem polega odrębność poety. Wszystko co czytamy u Selima słyszeliśmy już kiedyś. Ale czekajmy cierpliwie — może następne tomiki wyraźniej odsłonią nam własne „ja“ sympatycznego poety.

Zdzisław Art.